Rok 1935. 10 marca. Nr. 11

DZWONECZEK

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO“
POD REDAKCJĄ ELI OLESKIEJ.



Pędzą za mną pieski gończe —
To los zajączka — szaraka.
Co sił zmykam ledwo żywy...
Chart czy wyżeł, marnie skończę.

To już moja dola taka —
Dogna mnie kulką myśliwy.
Niech więc westchnienie dzieciaka
Pobiegnie za mną przez niwy:

Szkoda biednego szaraka!

Czem jest matka u ludów czarnych.

W Rodezji, w Afryce środkowej, pracują wśród pogańskich szczepów murzyńskich polscy ojcowie Jezuici jako misjonarze. Według ich opowiadań, najczcigodniejszem słowem u tych ludów dzikich jeszcze, dokąd nasza kultura zaledwo zaczyna docierać dzięki właśnie pracy misyj katolickich, jest matka. To bywa przyczyną, że misjonarzom w tych okolicach nietrudno szerzyć cześć Matki Bożej i że się między nawracanymi czarnymi w Rodezji rozpowszechnia nabożeństwo Marjańskie.

W języku bantyjskim, którego używają szczepy tamtejsze, matka nazywa się „maj“ albo zupełnie jak u nas — „mama“. Przez uszanowanie dla matki, wymawiają słowo „maj“ w liczbie mnogiej: „a maj“, podobnie jak u nas na wsi, zamiast „ty“ mówi się „wy“ do kogoś z rodziców. I oni tam szanują oboje rodziców, ale o wiele większą cześć mają dla matki niż dla ojca i nigdy nie odważyliby się rzucić na matkę jakieś przezwisko. Przeciwnie, gdy są smutni albo chorzy, a także w chwili wielkiego wzruszenia lub przerażenia, wołają, jęcząc głosem dziecięcym: „mama“.

Idąc na zarobek, chłopcy czy dziewczęta oddają cały zapracowany grosz swojej matce, nigdy przytem nie uciekając się do okłamywania jej i oszukiwania.

Wiadomości te świadczą, że nawet u ludów pierwotnych, dokąd nie doszła nasza cywilizacja, istnieje jakgdyby wrodzona człowiekowi cześć dla matki.

GROZA I POTĘGA LAWINY.

III.

Oprócz wielkich, odrywają się jeszcze w niektórych górach drobne lawiny, sypkie, podobne do welonów uczepionych u ścian skalnych. W ciepły dzień wiosenny można niekiedy zobaczyć równocześnie kilkanaście takich lawinek zsuwających się po zboczu jednej góry. Towarzyszy im huk podobny do dalekich grzmotów, ze wszystkich stron pochyłości górskich powiewają białe obłoki, które robią wrażenie, że znikają w powietrzu, gdy tymczasem miejsce upadku tych śnieżnych welonów zasłonięte jest zwykle jakimś występem gruntu.

Owe właśnie pomruki groźne gór, owe białe i srebrne welony sunące po skałach, owe huki pękających lodów jakie oblepiły w zimie ściany skalne, grzmoty zsuwających się wielkich lawin, ryki spadających wód, wreszcie masowe śpiewy ptactwa i brzęczenie owadów, to wszystko razem, tak właściwe pewnym okolicom górskim, jest zapowiedzią zbliżającej się wiosny. Z temi zjawiskami natury zżyci mieszkańcy, kiedy zmuszeni są później mieszkać w krajach nizinnych, nie mogą się zrazu w żaden sposób przyzwyczaić do wiosny nadchodzącej na równinach nieznacznie, jakby w milczeniu.

Chociaż nasze Tatry nie dochodzą wysokości Alp, jednak, jako góry już bardzo wysokie, skalne, strome, dzikie, pełne przepaści, o szczytach prawie przez całe lato bielejących śniegiem, — są wszakże jednako niebezpieczne pod względem lawin, jak i tamte. Niemal co roku ginie przez lawiny, tak zwaną „białą śmiercią“, jakiś niedoświadczony narciarz, który albo nie zna dróg, któremi zwykle zsuwają się lawiny, albo lekkomyślnie sam na nieszczęście się naraża.

Zresztą naogół ludzie nie wyobrażają sobie, jaką potęgą straszną a niszczącą są te śnieżne masy, pędzące całem zboczem góry w dół. Licząc, że śnieg jeśt lekki i puszysty, wyobrażają sobie, że nic trudnego jest się z pod niego wydobyć. Tymczasem śnieg w masie ma wagę wielką, a już zwłaszcza śnieg wilgotny w czasie odwilży, jaki najczęściej tworzy lawiny, w jednym zaledwie metrze sześciennym liczy aż 800 kilogramów. Jakiż to więc potworny ciężar zsuwa się w lawinie pędzącej po zboczu górskiem!

U nas nietylko Tatry, ale wogóle niemal całe Karpaty, mają co krok miejsca niebezpieczne, gdzie pod lawinami padają niekiedy lasy na kilometrowej przestrzeni, jakby podcięte straszliwą kosą. W Tatrach zaś, gdzie są liczne jeziora, pokrywające się w zimie grubą warstwą lodu, spadająca lawina często rozbija tę szybę lodową w drobne kawały, jak lichą skorupę. Tej zimy zdarzyło się to na Morskiem Oku.

Widzimy zatem, że lawiny, podobnie jak latem powodzie w górach, mają w sobie potęgę żywiołu i że człowiek, chociaż dumnie chlubi się tem, że jest „panem świata“, bywa często wobec tych żywiołów przyrody bezsilnym.

E.

Zajmująca historja wydry.

(Ciąg dalszy)

Zmartwiony chłopek był pewny, że to lis taką mu szkodę wyrządził, choć gdyby się był przypatrzył śladom, byłby poznał, że to inny szkodnik zagląda po nocach do jego drobiu. Wydra stawała się z dniem każdym

coraz odważniejsza i ubijała nawet świeżo narodzone jagniątka, gdy się na chwilę od matki oddaliły.

Niebawem sprzykrzyły się wieśniakom ustawiczne szkody i przysięgli zemstę wszystkim lisom, które uważali za sprawców. Na szczęście dla wydry bliską już była wiosna, lód na stawie stajał, a w rzekach pojawiły się liczne znowu ryby.

Nasz znajomy był już dużym i silnym samcem, biegłym w rozmaitych sposobach polowania na ryby i znającym wszelkie podstępy i wybiegi całej rodziny tych zwierząt.

Często na brzeg stawu i rzeki przychodziły dzieci wiejskie, aby łowić ryby. To jednak nie wstrzymało już młodego samczyka od wymknięcia się z nory i polowania na własną rękę. Jednocześnie uchylał się ciągle z pod śledzącego wzroku dzieci tak, że nie miały one najmniejszego pojęcia, z czego mogą powstawać owe banieczki powietrza, które się jużto na czystej wodzie, jużto wśród pięknych liści orzecha wodnego pojawiały. Gdy dla odetchnięcia musiał wypłynąć. wysuwał tylko koniuszek swego noska ponad powierzchnię wody i to tylko pod dobrem nakryciem z liści i na krótką chwilę, tak, że tego dzieci dojrzeć nie mogły.

Znowu nadeszła zima, a wydra spędziła ją na swój sposób i tylko częściej puszczała się do rzeki, która nie tak prędko zamarzła. Było to już doskonale rozwinięte zwierzę, bez dawnej trwogi w wodzie ni na lądzie. Na ziemi biegło zwinnym kłusem, ciągnąc za sobą wiosłowaty ogon, który wówczas nie był mu na nic potrzebny i tylko nadawał jego ruchom wygląd wężowy. Gdy polował w wodzie, wypływał często na powierzchnię i wydawał świst właściwy tylko wydrom, płoszący ryby, a jemu temsamem ułatwiał ich łapanie.

Wspaniale wyglądał nasz samczyk w swojej ciemnej, błyszczącej odzieży zimowej, niebawem też zyskał sobie towarzyszkę życia, którą poznał w swych ciągłych wędrówkach. Przyprowadził więc młodą żonę do gniazdka wyścielonego trawą i liśćmi. Wkrótce zaciszny ten kącik ożywiły głosy trojga pociech. Radość rodziców była ogromna. Trzeba było teraz dobrze pracować, aby wyżywić tak liczną rodzinę. Na szczęście ryb było dużo, a młode rosły prędko, więc niezadługo same zaczęły łowić żabki i małe rybki.

Pewnego ranka, gdy właśnie wieśniak z sąsiedztwa stał przed swym domem, wysunął się nasz samiec z wody, trzymając w pysku tęgą płocicę. Zapomniał tym razem o zwykłej przezorności, toteż został dostrzeżony. Wieśniak zaklął głośno, bo już teraz był pewny, że to wydra niszczy w stawie ryby, a domyślił się także, że łupem tego szkodnika stało się i jego jagniątko. Wieść o tem rozeszła się szybko po całej okolicy i przybrała rozmiary niebywałe: z jednej wydry zrobiono sześć, z płotki wyrosła olbrzymia ryba. Wszystko, co tylko czuło w sobie żyłkę myśliwską, stanęło na posterunku.

(C. d. n.)

Tajemnica wyspy kauczukowej.

Opowiedział MARJAN WARTA.

(Ciąg dalszy).

Pogoda sprzyjała, fale morskie w cieśninie były dość spokojne, więc statek kołysał się łagodnie i podróż można było uważać za przyjemną wycieczkę. Płynąc między zachodniem wybrzeżem Borneo a wyspą Celebes, zachwycano się pięknością morza, które tam jest przedziwnie przejrzyste.

Wil stojąc z nauczycielem na pokładzie statku, wpatrywał się z ogromnem zajęciem w głębinę, z której oczom jego ukazywały się niby lasy podwodne. Były to olbrzymie ławy korali o pięknych jaskrawych barwach, a pośród nich snuło się ciągle nieprzeliczone mnóstwo ryb i różnokolorowych zwierząt. Wil jeszcze nigdy nie widział tego pięknego zjawiska w przyrodzie, chociaż ucząc się, już o tem nieco słyszał. Jego nauczyciel skorzystał ze sposobności, by mu bliżej objaśnić, co to za zwierzęta są owe korale, tak niby do roślin podobne na dnie morza. Pouczył go tedy, że stworzenia te, tak zwane jamochłonne, mają, jak wszystkie polipy, ciało workowate, mięsiste, przytwierdzone nasadą do podłoża, opatrzone u góry otworem ust z wieńcem czułków dookoła. Otwór ten prowadzi do przełyku, który uchodzi do właściwej jamy pokarmowej; ta zaś zapomocą przegród ustawionych promienisto, dzieli się na komórki, połączone z sobą w pośrodku.

— Są, widzisz, — opowiadał pan Edward — korale dużych rozmiarów, nieraz kilkanaście centymetrów wysokości i te żyją pojedynczo, wyglądając na dnie morskiem, dzięki swym świetnym barwom, jakby wspaniałe dywany z kwiatów. Mają one nazwę: ukwiały. Natomiast inne korale, żyjąc zbiorowo, tworzą, jak ludzie, niejako kolonje w morzu, złożone z tysięcy istot, których jamy pokarmowe łączą się z sobą. Te postacie zbiorowe wytwarzają zwykle szkielet wapienny. Szkieleciki oddzielnych stworzeń, zrastają się z sobą w wielkie masy drzewiaste, tworzą twardą koralowinę, z której często powstają podwodne rafy, o jakich słyszałeś, że są dla żeglugi niebezpieczne, albo całe wyspy koralowe. Zatem ta twarda kora na ich miękkiem ciele, ta koralowina, jest właśnie materjałem, z którego po oczyszczeniu wyłowionych z wody pni koralowych, wyrabiają dopiero znane ci ozdoby, powszechnie w świecie używane paciorki koralowe.

— A na cóż — zapytał garbusek — koral ma taki wieniec czułków dokoła ust?

— Te palcowate, czasem ząbkowate wyrostki, bardzo czułe na dotknięcie — objaśniał pan Edward — to są niejako ramiona, które służą do chwytania i zabijania zdobyczy, a także i do obrony. Kiedy jedno stworzonko schwyci i pożre zdobycz, soki pożywne rozchodzą się po kanałach, łączących w kolonje wszystkie korale i zasilają ogół zwierzątek.

Za chwilę Banka zaczęła spierać się z Wilem, utrzymując, że wśród paciorków, któremi była obwieszona dla ozdoby, posiada oprócz czerwonych także białe i czarne korale. Chłopak zaś przekonywał ją, iż myli się, biorąc tamte również za korale, gdy tymczasem mogą być one tylko czerwone.

Wątpliwości usunął pan Edward, który wmieszał się do małej sprzeczki i pouczył swego wychowanka, że Malajka ma słuszność, ponieważ oprócz najbardziej rozpowszechnionych, czerwonej barwy, bywają korale i w tamtych kolorach.

(C. d. n.)

Szarady, zagadki — dla naszej gromadki

SZARADA.

Pierwsza - druga? dziwne rzeczy:
Zdobi człeka i kapustę.
Choć to rozumowi przeczy,
Bywa pełne, bywa puste.
Bywa także do pozłoty.
Wtedy liczne z tem kłopoty

Mają różne *drugie - trzecie*,
Tak chłopaki, jak dziewczęta,
Bo niczego nie pamięta.
Całość — wojak zawołany,
Chłop - bohater dobrze znany.